№ 26. Warszawa, dnia 29 Czerwca 1907 r. Rok XLIX.

TYGODNIK MODY I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
kwartalnie	rb. 1	kwartalnie	rb. 1 25
rocznie	rb. 4	półrocznie	„ 2.50
za odnoszenie	k. 10	rocznie	„ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

We wszystkich państwach związku pocztowego kwartal. rb. 1 k. 60. Zmiana adresu kop. 15.

Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9; w Krakowie Księgarnia St. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy Księgarnia Świętego Wojciecha w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce na stronie drugiej kop. 20, na ostatniej kop. 15. „Nadesłane“ wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą.

Adres Redakcyi i Administracyi: *Warszawa, Hoża 41. KANTOR Zgoda 7.*

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o odnowieniu przedpłaty na kwartał III-ci.

Feliks Jabłczyński.

BEZ PODSTAW.

POWIEŚĆ

(Dalszy ciąg)

Należało nietylko walczyć z ludźmi, na co wystarczałyby instynkty, gusty. Trzeba było walczyć z ideami.

Fabrykant X. miał idee, które prowadziły go wprost do wzywania policyi, żandarmów; inny posiadał odmienne, które stawiały go nieomal w rzędzie anarchistów, jeżeli nie czynnych, to ideowych.

Jego matka, stara prezesowa, jej siostra, wuj, aresztowana kuzynka, jej koleżanki, jego dawni koledzy — wszyscy, z którymi spotykał się, mieli idee.

— Trudno oryentować się w tem. Trzeba być samemu *czemś*. Wtedy zapewne jest łatwiej mieć sąd o wszystkiem.

Były to słowa pani Łońskiej, wypowiedziane podczas ostatniej wizyty.

To „być czemś“ znaczyło u niej mieć idee, które zapewne i jej narzucały się same, jako coś obcego dla niej, zmuszając ją do wysiłków tem przykrzejszych, że zjawiały się one na tle poważniejszych kłopotów, zapewne najgłówniej natury materyalnej.



Tymczasem w domu odsłaniały się powoli t. zw. najzwyczajniejsze brudy rodzinne, które wymagały nietylko osądzenia ich z punktu widzenia estetyki, etyki, wykwintniejszych pojęć o życiu, lecz z punktu widzenia ogólniejszego. I tu w złem plątały się idee—idee również nowe, nowe formy zła, które noszą rozmaite nazwy: bandytyzmu, cynizmu, zepsucia, rozkładu etc.

Sprawa futerału dowiodła mu, że idee wolności, idee wzięte z walki klas, słuszne upominanie się o społeczne i polityczne krzywdy—mogą być przyczepiane do najzwyczajniejszego szantażu.

Sprawa brata, która w pierwszej chwili wydawała się jasnym, prostym, tragicznym przypadkiem, obecnie odsłaniała się powoli, ukazując nietyle fakty ile odory zgnilizny, które ostrzegały, że nic dobrego tam się nie kryje.

Mauss, ze swoją znajomością życia, ze swemi jasnemi, racyonalnemi ideami i cynizmem człowieka, który ma w ręku siłę i używa jej na swoją korzyść; stara prezesowa z jej szlachetnemi pojęciami dobrej kobiety obok bezwzględnego konserwatyzmu w sprawach osobistego majątku, i tylu tylu innych, w których żyły najdziwniejsze mieszaniny sprzecznych z sobą rzeczy, wymagały istotnie zoryentowania się. W przeciwnym razie działały jak przykry, nieustający fałsz, który dźwięczał w uszach, zatruwając wszelkie myślenie, czucie, wykręcając każdy czyn, stwarzając bezład w głowie i w życiu.

Szczególniej zaś w domu koncentrowało się to wszystko około osoby Molickiego i bratowej.

XII

Cały dzień trudny, ciężki do zniesienia, zszedł mu na nieustannem załatwianiu rozmaitych spraw, najrozmaitszych kategoryi.

Był to dzień, w którym po tygodniu stania fabryka poszła znowu. Robotnicy wrócili do warsztatów. Nie stawiano im żadnych trudności.

Po tygodniu ciszy dziwnej i przykrej, która panowała w domu, znowu od szóstej rano w mieszkaniu zapanował ów znany wszystkim, stłumiony, oddalony huk, warkot, do którego Roman od dzieciństwa był przyzwyczajany. Twarze domowników rozpogodziły się i uspokoiły.

Przy śniadaniu stara prezesowa, po chwili ciszy, gdy wszyscy obecni z zapartym oddechem wsłuchiwali się w ów huk fabryki, szepnęła z zadowoleniem.

— Robią!...

Istotnie robili. Nastąpiły znane chwile martwego uspokojenia się, zbyt spokojnego, aby nie miało ono być podejrzanem ze względu na przyszłość.

Przy śniadaniu zgromadzili się wszyscy. Przez okna stołowego pokoju, w blasku upalnego słońca, na tle jasnego, blado-niebieskiego, przybrudzonego nieba rysował się znany widok podmiejskiej dzielnicy przemysłowej. Kominy sterczały, dymiąc. Brudna, okopcona cegła budynków fabrycznych stawała się w jaskrawem oświetleniu dnia jeszcze brudniejszą, czarniejszą, bardziej spiekłą i cięższą niż w dnie słotne, niepogody, kiedy nabierała koloru, czerwieniąc się krwawo.

Wszyscy byli pomęczeni, bo dzień rozpoczął się wcześnie niespodziewaną wiadomością,

że robotnicy zgłaszają się do pracy. Powstawano o szóstej rano. Tak, jak gdyby wybierano się w podróż pociągiem wczesnym, rannym. Nastrój był uroczysty i prawie świąteczny.

Nawet Roman nie mógł się oprzeć wrażeniu ulgi, chociaż czuł, że powody są bardzo przejściowe, bardzo problematycznej natury.

Za dobrze oryentował się w nowej sytuacyi, aby optymizm kobiet, a nawet dawna jego sybarycka obojętność mogły zasłonić mu jasne widzenie stosunków, ludzi i rzeczy. Widział spód naczynia i gręzy tam, gdzie inni spostrzegali tylko barwnie spienioną lub uspokojoną i błyszczącą powierzchnię.

Podobnem przejrzeniem nagłem głębi rzeczy była kilkunastominutowa rozmowa z siostrą.

Po załatwieniu się z Maussem i zarządem fabryki, aby powracającym do pracy robotnikom nie robić przeszkód — Roman powrócił do siebie i zażądał herbaty.

Była to pora niezwykła.

Dom i gospodarstwo, które pod okiem prezesowej chodziły jak zegarek, nie rozpoczynały swoich czynności tak wcześnie.

To też żądaną herbatę przyniosła Romanowi Mieczysława.

Oboje, pomimo wypadków, pomimo codziennego widywania się, nie zżyli się dotychczas z sobą. Sześć lat pobytu Romana zagranicą nie zdołały się wygładzić dotychczas.

To też zdziwił się trochę, chociaż przyjemnie, widząc ją w kaftaniku, niosącą ostrożnie, z niewprawą, serwis, niby młoda gospodyni.

— Przyniosłam sama, bo niedoczekałbyś się... — rzekła, stawiając tacę na stole.—Czy nie trzeba czego jeszcze — zapytała.

Roman poczuł w jej spojrzeniu znaną mu resztkę despotyzmu, którą kiedyś roztaczał naokoło siebie ich ojciec.

Pierwszy raz przyszło mu to do głowy, że jako syn swego ojca mógł po nim coś odziedziczyć—że może między ojciem i synem jest więcej podobieństwa pomimo powierzchownych różnic, niż by się zdawało.

Mianowicie od pewnego czasu począł czuć na około siebie, w domu, jakąś atmosferę sztywności, strachu, nadmiernego uszanowania, pomimo tego, że nie czuł w sobie nic z usposobienia despoty, nie lubił wywierać na ludzi żadnej presyi.

A jednak siostra jego własna czuła zalęknięcie w jego obecności.

— Pozrywaliśmy się dzisiaj wszyscy bardzo wcześnie—rzekł, starając się być wesołym.

— Robotnicy przyszli... Spodziewałam się, że przyjdą—rzekła niespodziewanie mocno.

— Spodziewałaś się? Na zasadzie czego?— zapytał Roman, nie mogąc powstrzymać się od lekkiej ironii.

— Sama nie wiem, ale byłam prawie pewna—odpowiedziała, czerwieniąc się.

— Przeczułaś?

— Tak...

Wyglądała blado, w oczach miała ukryty smutek ten, który spotyka się u dzieci, u zwierząt, chorych, przeczuwających beznadziejność swego istnienia, chociaż o tem mogą nie wiedzieć wcale.

— Źle wyglądasz--rzekł Roman, popatrzywszy na nią.

Dalszy ciąg nastąpi.)

Obchód jubileuszowy ELIZY ORZESZKOWEJ

w Warszawie.

———

(Dokończenie.)

W dwóch salach Filharmonii odbyły się w dniu 11 Czerwca jednocześnie posiedzenia— Sekcyi Wychowawczej i Sekcyi Ogólno-Oświatowej. W pierwszej z nich, na wniosek p. Aleksandrowiczówny ze Lwowa, rozpoczęto od dyskusyi nad zakresem i programem projektowanego instytutu pedagogicznego imienia Orzeszkowej. Szkic takiej organizacyi odczytała p. A. Szycówna z tą uwagą, iż w chwili urzeczywistnienia myśli powołanym zostanie komitet specyalistów dla ostatecznego ułożenia ustawy. Przez komitet specyalistów rozumie referentka zbiór ludzi różnych stronnictw, albowiem przyszła szkoła powinna być *narodowa* a *bezpartyjna.*

Jak gdybyśmy—nawiasem mówiąc—mieli zupełnie ujednostajnione i ustalone pojęcia o tem co jest narodowe a co antynarodowe, i jak gdyby termin *bezpartyjność* nie bywał u nas dotąd używany jako parawanik do pokrycia najkrańcowszych zapędzeń w rozmaitych kierunkach.

Przytem deklaruje p. Sz., że nie chce ani szkoły wyznaniowej, ani bezwyznaniowej.

Nad tym zarysem przyszłej ustawy wywiązuje się polemika, w której biorą udział p.p.: Iza Moszczeńska, Wilmanowa-Grabowska, Chmielińska i jeszcze raz referentka. Ostatecznie wtrąca ktoś na końcu myśl, która nie byłaby wcale zawadziła na początku, mianowicie, aby do komitetu wybierać pedagogów, a nie ludzi partyj.

Po wyczerpaniu tematu odczytała p. Dawidowa pracę swoją o „Szkole Nowej“, od której żąda autorka przedewszystkiem, aby się zbliżyła do życia; czas bowiem wielki— jej zdaniem — aby dawna szkoła martwa w swych formach ustąpiła miejsca szkole życia—szkole szczęścia. (Kto by nie chciał!)

Dr. Tylicka przemawia za reformą wychowania kobiet, któraby uwzględniała rozwój fizyczny. P. Iwanowska mówi o stosunkach panujących w Studzieńcu, i o poprawczym domu dla kobiet w Puszczy.

W Sekcyi Ogólno-Oświatowej p. E. Paszkowski charakteryzował znaczenie jubilatki w sprawie oświaty i w sprawie myśli polskiej na kresach naszych. P. Swięcka z gubernii Mohylewskiej zdawała sprawę ze stanu oświaty na Białorusi, przyznając tam kobiecie ważny udział w dziele szerzenia światła. P. Sniegocka przedstawiła żywo działalność kobiet w sprawie oświaty u nas, w ciągu bolesnej pamięci ostatniego okresu, przypominając ogółowi zebranych, że mimo przeszkód i usiłowań, o których kiedyś w przyszłości z niedowierzaniem czytać może będą ludzie, przeszło przez to nauczanie tajne 12,000 dzieci, z których dzisiaj znaczny procent przyjmuje czynny udział w pracach oświatowych.

Następna mówczyni p. Weychertówna podnosi sprawę nauczania analfabetów dorosłych; mówi o początkach szkoły w Pszczelinie i o szkole w Kruszynie. P. Szczepanikowa z Radomia opisuje postęp t. zw. uniwersytetu ludowego w tem mieście. P. Rudnicka z Łodzi trafnie charakteryzuje ujemne warunki, składające się na powolny bardzo postęp robót oświatowych w tym zlewku rozmaitych narodowości i plemion.

W dniu 12 Czerwca rano uczestniczki Zjazdu wybrały się na wycieczkę do Pszczelina.

Na końcu zebrania odczytanym został adres przesłany Orzeszkowej od związku Polek zamieszkałych w Petersburgu.

Stowarzyszenie pracowników handlowych i przemysłowych wyznania mojżeszowego wysłało telegram z wyrażeniem hołdu dla jubilatki.

Od Polskiej Macierzy Szkolnej posłaną była depesza gratulacyjna z podpisem p. Osuchowskiego, mecenasa.

Pod tąż datą miały jeszcze miejsce obrady w dwóch sekcyach: ekonomicznej i prawno-politycznej. Zaczniemy od pierwszej z nich.

Przewodnicząca p. Sadowska z Petersburga. Pierwszy głos ma p. Żmijewska. Mówi o działalności kobiety w dziennikarstwie. W konkluzyach swego referatu doradza p. Ż. założenie kursów dziennikarstwa przy projektowanym Instytucie imienia Orzeszkowej. P. Karczewska b. redaktorka „Świata kobiecego“ czyta swoją pracę o doli i niedoli pracownic wiejskich. Dr. Tomaszewicz-Dobrska czyta referat p. Bernsteinowej o Prawodawstwie ochronnem i prawie kobiet. Dr. Jaworski o ochronie i zabezpieczeniu macierzyństwa, przyczem podaje wiązkę projektów do wprowadzenia w życie. P. Tabęcka dopomina się o zaprowadzenie opieki prawnej nad dziećmi oddanemi na garnuszek. P. Roszkowski czytał o kobiecie-robotnicy, przyczem wyraził się, *że u nas w Rossyi* 10 procent ogólnej ludności stanowią kobiety-robotnice. W dyskusyi, która się następnie wywiązała, zabierały głos p.p.: Barbara Hemplówna, Dobrska, Sawicka, Arct-Golczewska, Zenobja Sykulska, Bujwidowa, Reinschmidt-Kuczalska o braku wyraźnym w zjeździe kobiet z proletaryatu, wreszcie p.p.: Kempner, Koszutski i Łypacewicz, Posiedzenie ciągnęło się dopóki elektryczność nie odmówiła usług. Mimo zapadających mroków na sali rozejście odbyło się, równie jak przebieg cały obrad, w porządku wzorowym.

Za to odnośnie do dwóch ostatnio wymienionych, a niezbędnych dla każdej zbiorowości sejmującej warunków, nie da się nic pocieszającego powiedzieć z okazyi obrad w tak zwanej sekcyi *prawno-politycznej.*

Zagaiła szereg przemówień p. Iza Moszczeńska zalecając powstrzymanie się, o ile to będzie możebnem, od zabarwienia partyjnego w przemówieniach. Do tego zastrzeżenia zastosowała się nie mieszkając p. Dulębianka, która przez godzinę całą mówiła przeciw taktyce zarówno stronnictwa demokratyczno-narodowego, równie jak socyalistycznego, tak, że aż poproszono mówczynię o opuszczenie estrady. P. adwokat Lednicki wypowiedział słowa pożegnalne do uczestniczek Zjazdu. P. Rotwand mówił o sądach w sprawach dotyczących czci niewieściej, przyczem proponował utworzenie sądu, któryby rozstrzygał sprawy honorowe między kobietami. P. Karczewska obstawała przy konieczności udziału

kobiet w samorządzie ziemskim, a to ze względu, że wszyscy przyznają kobiecie naszej zmysł administracyjny. P. Mayzner w imieniu młodzieży postępowej uzasadniał uczestnistwo kobiet młodych w życiu studenckiem. Wreszcie wystąpiła p. Rygier-Nałkowska w imieniu t. zw. *Kobiety nowej*. Nie bardzo łaskawie obszedłszy się z całym zjazdem, wyraziła zdziwienie swoje na widok tego, że mimo obecności kobiet wszystkich prawie zawodów — jedna z profesyi nie jest wcale w tem zgromadzeniu reprezentowaną. Ponieważ pismo nasze niezwykło uszu czytelniczek swoich obrażać sprawami dotyczącemi tej właśnie profesyi, przeto i przedmiot żalu mówczyni nie będzie przez nas tym razem wyjaśnionym należycie, a i co do następstw tego odezwania się referentek wolimy się posłużyć sprawozdaniem cudzem. Oto jak wedle „Gońca" naprzykład odbyła się reszta posiedzenia w sekcyi prawno-polytycznej.

„... Dalsze treny „Nowej kobiety" nad dwulicowością i obłudną moralnością niewiast z tak zwanego towarzystwa, przerywa kilkakrotne dzwonienie przewodniczącej, która prosi prelegentkę o zajmowanie się tylko sprawą objętą porządkiem dziennym. Dzwonienie to naturalnie do żywego oburza zgromadzenie, którego młodsza część frenetycznymi oklaskami i okrzykami wzywa p. Rygier-Nałkowską do mówienia w dalszym ciągu.

„Po ukończeniu referatu staje jakiś młody człowiek z kędzierzawą bródką, i ostro interpeluje prezydyum w kwestyi rzekomo formalnej, mianowicie pyta się, jakiem prawem przewodnicząca ośmieliła się przerywać dzwonieniem p. Nałkowskiej.

„Publiczność okrzykami: dosyć! dosyć! prosi młodzieńca o opuszczenie estrady, czego on w żaden sposób zrozumieć nie chce, i starając się przekrzyczeć tłum, mówi coś podniesionym głosem. Aż nakoniec panowie zasiadający na podniesieniu biorą pod ręce niefortunnego interpelanta i tłumaczą mu niestosowność jego wystąpienia.

„Hałas dosięga teraz szczytu. Miara przebiera się, gdy na estradzie ukazuje się p. Magnus i oświadcza zebranym, że kobiety biorące udział w zjeździe zasłużyły w zupełności na równouprawnienie, dając rzadki dowód cierpliwości, albowiem przed chwilą wysłuchały rzeczy, których on nieodważyłby się powtórzyć nawet w męzkiem towarzystwie.

„Wrzaski i śmiechy zagłuszają mówcę, który opuszcza estradę, żegnany sykaniem i gwizdaniem słuchaczek.

„P. Izie Moszczeńskiej udaje się na chwilę uspokoić zebranie za pomocą energicznego tupnięcia nogą i okrzyku: Bądźcież cicho! co wywołuje ogólną wesołość.

„Od prezydyum następuje zawiadomienie, że pani Konopnicka oburzona zachowaniem się części publiczności opuściła zebranie.

„*Szczęśliwa podróż!* Słychać liczne głosy wśród rozweselonej publiczności.

P. Moszczeńska żegna zebranie prosząc o naradzenie się nad obraniem terminu następnego zjazdu."

Smutek — smutek — smutek!

K.

Z ZA KORDONU.

Na ostatniem posiedzeniu Komitetu odnowienia Zamku na Wawelu zapadła uchwała przedstawienia wydziałowi krajowemu następujących wniosków: 1) O wykonanie całego dachu w konstrukcyi żelaznej z uwagi na bezpieczeństwo od pożaru. 2) O podniesienie murów zamkowych do dawnej wysokości. 3) O przywrócenie dawnego gzemsu z ciosów kamiennych. 4) O odnowienie krużganków od strony wieży Senatorskiej wraz z attyką ponad tą częścią. 5) O przywrócenie dawnego stropu II piętra krużganków wraz z jego polichromją i złoconem rozetowaniem. 6) O odrestaurowanie fryzu II piętra w tej części krużganków.

Na miejsce zmarłego członka Komitetu, ś. p. Jana Stanisławskiego, uchwalono przedstawić wydziałowi krajowemu do zatwierdzenia artystę-malarza p. Jacka Malczewskiego.

O krwawych wyborach w Harucku w powiecie Drohobyckim donoszą galicyjskie pisma takie szczegóły:

W gminie Harucko głosowanie rozpoczęło się dnia 24 Maja, o godzinie 11 przed południem. O godzinie 4 po południu, przystąpiła komisya wyborcza do obliczenia głosów, poczem przewodniczący w komissyi unicki proboszcz ks. Teofil Skobielski obwieścił taki wynik głosowania:

Oddano głosów 687. Z tego otrzymał ks. Dawidiak 573—dr. Oleśnicki 72—hr. Skarbek 42.

Niezadowoliło to bynajmniej wyborców, którzy zaczęli się domagać zwrotu składanych kartek, albowiem wedle ich obliczeń na księdza Dawidiaka paść miało około 1000 głosów. Zapanowało niezmierne wzburzenie, którego niepodobna było złagodzić niczem, nawet obliczeniem na miejscu głosujących; a tych, jak wiadomo, nie było w ogólnej liczbie 1000.

Roznamiętniony tłum ciemny, zazwyczaj głuchy jest na słowo rozsądku i ślepy wobec oczywistości — ztąd po odmownej odpowiedzi na propozycyę powtórnego głosowania ozwały się okrzyki: *Rozerwać go na sztuki!* Dotyczyło to przewodniczącego księdza Skobielskiego.

Zagrożony ukrył się w domu gminnym, a czerń, nie mogąc się tam wedrzeć, obrzuciła komissyę i żandarmów gradem kamieni, powybijała szyby i t. d. i t. d.

Wezwania ze strony żandarmów, powtarzane kilkakrotnie, do spokoju i rozejścia się pozostały bez skutku dopóty, dopóki komendant posterunku nie dał rozkazu strzelania. Jeszcze na pierwszą salwę odpowiedziano gradem kamieni i dopiero, gdy skutkiem następnej padło 4 zabitych i 9 rannych—rozpoczęła się ucieczka. Lżej rannych zabrali szaleńcy do domu.

Ponieważ odgróżki przeciw księdzu Skobielskiemu jako rzekomemu winowajcy, nieustały jeszcze i na drugi dzień, przysłano przeto na uspokojenie dwa szwadrony jazdy i 24 żandarmów.

Tak wygląda w praktyce bezpośrednie, tajne, równe i t. d.

W Galicyi wogóle jest wesoło. W dniu 27 Maja na jarmarku w Krzeszowicach banda socyalistów pod dowództwem rzeźnika Szczurka z Tenczynka napadła na spokojnych mieszkańców Chrzanowa, i za to, że nie chcieli popierać socyalistycznego kandydata Kurowskiego, pobiła ich tak silnie, że wielu odniosło rany ciężkie. Komitet Wyborczy Chrzanowski wniósł telegraficznie skargę do prezesa ministrów w Wiedniu.

Ze statystycznego rocznika urzędowego pruskiego za rok 1905 dowiadujemy się cyfry Polaków żyjących w granicach państwa niemieckiego. Zaliczenie osoby tej lub innej narodowości opierało się na jej własnej deklaracyi, jakim językiem posiłkują się w otoczeniu rodzinnem — niemieckim, polskim, albo jednym i drugim. Rozmaicie tam mówią o owych deklaracyach. Wielu bardzo niedostatecznie objaśnionych co do następstw, niedbałych, wreszcie lękliwych, bo w jakiś sposób zależnych od władzy, która w lot umie z takich warunków skorzystać, podawało się jeśli nie za Niemców, to przynajmniej za używających jednej zarówno jak drugiej mowy, i tacy w wyborach zamieszczeni zostali jako dwujęzyczni. Z ogólnych uwag dodać wypada, że przyrost ludności naszej przewyższa pod tym względem mnożenie się Niemców—że gdy w całych Prusach przewyżka urodzeń nad zejściami wyraża się cyfrą 7.6%—u nas w Poznańskiem dochodzi 9.78%. Tej też sile zawdzięczamy dzisiejszy nasz stan liczebny, który wykazuje, że nietylko nieubywa nas w domu, ale, że się rozlewamy poniekąd na inne prowincye państwa.

Co do tego ostatniego objawu radzibyśmy, aby go czytelnik osądził wedle jego wartości realnej, mianowicie, aby zrozumiał, że nie jest to z korzyścią, ale owszem, ze stratą naszą. Wogóle ginie dla swojej ziemi polak, o ile od niej oderwanym zostanie dzięki jakimkolwiek przyczynom i pobudkom; a w danym wypadku rzucony między obcych ze swoją zależnością materyalną, bo tak bywa powszechnie, z inteligencyą przeważnie niższą od niemieckiej, wsiąka rychlej lub później, tworzy właśnie ową dwujęzyczność w pierwszem pokoleniu, która w drugiej lub w trzeciej generacyi każe mu zapomnieć nieuchronnie o języku ojczystym. Z tego względu podajemy poniżej zaludnienie polskie na ziemiach naszych własnych, i tę drugą kategoryę rozproszoną po Saksonii, Brandeburgii, Pomorzu, Westfalii, Hanowerze i t. d. Zacznijmy od pierwszej:

Terytoryum etnograficzne Polskie

Język ojczysty

Obwód Rejencyjny		*Niemiecki*	*Niemiecki i inne*	*Polski*
1	Poznański	406,587	4,077	850,869
2	Bydgoski	354,714	3,353	365,387
3	Olsztyński	242,751	12,829	276,814
4	Gdański	514,423	4,968	192,327
5	Kwidzyński	550,262	6,799	374,991
6	Opolski	757,187	55,230	1,158,789
	Razem	2,822,924	87,256	3,219,177

Terytoryum obce. Język ojczysty polski. podało.

Prusy Wschodnie. Królewiec 2,434—Gumbin 15,107—m. Berlin 24,281.

Brandeburgja. Potsdam 30,233 — Frankfurt n/O. 16,244.

Pomorze. Szczecin 9,041—Koszalin 10,192—Stralsund 5,193.

Śląsk. Wrocław 50,391—Lignica 12,174.

Prowincya Saska. Magdeburg 20,568 — Merseburg 16,939—Erfurt 1,736.

Hanower. Hanower 3,652 — Hildesheim 3,775 — Lüneburg 4,573 — Stade 3,175 — Osnabrück 156—Aurich 117.

Westfalja. Monaster 40,723—Minden 374 —Arnsberg 97,703.

Hessja Nassau. Kassel 1,807—Wiesbaden 1,089.

Prowincya Nadreńska. Koblentz 289 — Düsseldorf 45,623 — Kolonja 2,556 — Trewir 257—Akwizgran 446.

Razem rozproszonych, a zachowujących dotąd język polski *427,269*.

Z dziedziny leżącej po zagranicami poznania.

„Astronomi znają równie dobrze przeszłość, jak przyszłość — znają nawet to, co jest niedościgłe i niepochwytne.

„I tak naprzykład wiemy napewno, że kometa Halley, ukazawszy się oczom mieszkańca naszej planety w roku 1835, zagłębiła się następnie znów w przestworza bezmiaru światów—że ów Halley powróci do nas po przebieżeniu przez ten okres czasu jakichś 5,215,000,000 kilom. drogi.— Nie obce nam jest nadto, gdzie się on znajduje w tej chwili, mimo, że przez żaden z naszych teleskopów dojrzeć go nie możemy, a niebawem wszystkie pierwszorzędne obserwatorya skierują szkła swoich lunet na punkt, w którym się ukaże ten wędrowiec dawno nie oglądany.

„Przyznać wszakże wypada, że ta gałęź nauk, tak daleko posunięta, upokarza nas, ilekroć pomyślimy o zastarzałej ignorancyi człowieka w rzeczach dotyczących jego własnego ustroju—o szczupłym zakresie jego wiedzy we wszystkiem co dotyczy fizyologii, psychologii, biologii—jednem słowem: medycyny.

„Tak jest! Wiemy co się dzieje na słońcu i na gwiazdach—zważyliśmy te światy—zmierzyli przestrzeń, która dzieli niebo od ziemi, ale siebie samych nie znamy wcale".

Tymi wyrazy rozpoczyna Kamil Flamarion swój artykuł ogłoszony imiennie w numerze dziennika „Matin" z dnia 21 Maja— artykuł, który nosi tytuł: „*Lekarze skazali— magnetyzer uleczył.*"

Wprawdzie znakomity popularyzator wiedzy przyrodniczej zabrnął wyłącznie prawie w kierunku, który obejmujemy ogólną nazwą wiedzy tajemnej (*sciences occultes*), a nawet ogłosił obszerne w tym przedmiocie dzieło swoje, zawierające szereg doświadczeń spirytystycznych, w których osobiście uczestniczył—wprawdzie wiek Flamariona dzisiejszy nie jest wiekiem najwyższej przenikliwości umysłu, nie mniej podajemy w treści referat jego bez obawy wprowadzenia w błąd czytelnika, przekonani bowiem jesteśmy, że powszechnego szacunku używający w świecie naukowym członek akademii Francuzkiej nie ubliżyłby sobie w żadnym razie podawaniem zmyśleń za prawdę, a choćby tylko naciąganiem faktów gwoli poparcia własnego apriorystycznego założenia.

Może zatem czytający być pewnym, że to co usłyszy, miało miejsce niewątpliwie.

Jest jeszcze wzgląd jeden, z którym—wyznajemy to—liczymy się stale w piśmie naszem, a mianowicie: obawa przed odwracaniem umysłu od wyników wiedzy pozytywnej w kierunku cudowności wszelakiej—od nauki gruntownej ku szarlataneryi, a od medycyny poważnie traktowanej ku znachorstwu.

Co do ostatnio wymienionego jednak względu zachowujemy pewną miarę, bo w istocie zaprzeczyć niepodobna, że nauka jest pomylną, czego dowodzi sam ciągły jej postęp i zmiany w zapatrywaniach na organizm ludzki—że niema takich fanatycznych czcicieli wiedzy, którzyby woleli umrzeć zgodnie z jej dekretem, aniżeli być ocalonymi wbrew temu wyrokowi przez jakiegoś laika, a nakoniec—że mamy przed sobą fakt, wobec którego medycyna mundurowa wyraziła urzędownie swoją niemoc. Podjętym został jeden z takich cierpiących, dla którego nie miało już być środka ratunku.

Oto co opowiada w tej sprawie Flamarion.

Młoda osoba p. B, córka kobiety zmarłej na gruzlicę w lat 30, której brat uległ tej samej chorobie w 8 roku życia, zdradzać poczęła wszystkie symptomaty tych cierpień po dojściu do lat 20, a ostatecznie od roku 1805, gdy doszła lat 26 życia, niepowstawała już wcale z łóżka. Trzej lekarze, renomowani jako dyagności, mianowicie Grandjean, Saint Martin i Diehl, którzy ją poprzednio obserwowali, po odbytej naradzie w miesiącu Marcu r. b. potwierdzili dyagnozę kolegi d-ra Levy'ego stałego lekarza domu, i znaleźli szereg cierpień, których suma nakazała im uznać stan chorej jako beznadziejny nieodwołalnie. Mowa tam jest w owym protokóle o gruźlicy, która zajęła obie połowy płuc, o cierpieniach dotkliwych kolumny pacierzowej, wykrzywionej ku stronie wewnętrznej, o boleści stałej w żołądku niedopuszczającej nawet możliwości zbadania, wreście o utracie czucia w kończynach górnych i t. d. i t. d. Przytem wyniszczenie ogólne, bezsenność stała, krwotoki, bezwład całkowity— zaledwie możebny słaby ruch głowy ku stronie prawej—cera twarzy woskowa, chudość szkieletu. Chorej nie można było utrzymać opartej o poduszki, gdyż kolumna pacierzowa utraciła wszelką sprężystość. Nogi bezwładne zupełnie.

W takim stanie znalazł chorą oddający się magnetyzmowi i hypnotyzmowi Emil Magnin, który dopatrzywszy w niej niezwyczajną wrażliwość psychiczną, zamierzył próbować jeszcze siły tej natury oddziaływań na jej organizm. Skłoniło go do tego własne wyznanie cierpiącej.

„Było to dnia 18 Września—mówiła cierpiąca — w nocy. Nie spałam, i zdziwiło mię bardzo, gdy lampa moja niespodziewanie zgasła. Kazałam dozorczyni sprawdzić, dlaczego się to stało, a ta ku zdziwieniu memu powiedziała mi, że w lampie jest nafty dostatek. Zapalona lampa gaśnie ponownie, bez żadnej przyczyny.

Zrozumiałam odrazu, że jest w pobliżu mnie siła nieznana, której istoty nieprzeczuwałam dotąd, i wraz z tem ujrzałam w ciemności białą, bardzo wykwintnych kształtów dłoń, która na ścianie przyległej mojemu łóżku, pisała: „*8 Maja wstaniesz*".

Zastanowiło to magnetyzera, że nietylko sama chora widziała te litery, ale że zjawisko to potwierdziły w całości: i dozorczyni chorej i jej krewna, w której domu pozostawała na kuracyi.

Wtedy rozpoczęło się leczenie magnetyzmem, które Flamarion podaje bardzo szczegółowo z dodatkiem wiary obsolutnej autora w uczestnictwo czynne siły psychicznej osoby trzeciej, nie obcej magnetyzerowi, za której sprawą spełniał się cały proces uzdrowienia.

Bo uzdrowioną została, a właściwie zmartwychwstała ta skazana przez lekarzy ofiara bardzo skomplikowanych i bardzo daleko posuniętych cierpień.

Jak wytłumaczyć tę rekonwalescencyę cudowną nie będziemy nawet próbować, ale niechaj nam wolno będzie raz jeszcze posłużyć się tutaj wiernie na język nasz przełożonemi słowy Kamila Flamariona. Oto jego zapatrywania na tę sprawę i jego tłumaczenie procesu całego:

„Że bezpośrednie oddziaływanie profesora magnetyzmu na chorą miało tu swoje znaczenie, co do tego nie może być wątpliwości. Była to sensitiwa typowa, skłonna w wysokim stopniu do wiary we wszystkie obietnice uzdrowienia. Włożył też i on w dzieło swoje całą dobrą wiarę i przekonanie niezłomne, a wiadomo, że taka wiara faktycznie zdolną jest przenosić góry."

Jesteśmy tutaj niewątpliwie wobec pierwszorzędnego objawu oddziaływań siły psychicznej.

Jakiej natury ściśle był w tym procesie współudział owej trzeciej mistycznej osobistości—na to nie możemy dostarczyć żadnej odpowiedzi wystarczającej. Wszelkie argumenty psychologów dające się odnieść do hallucynacyi, histeryi, suggestyi, upadają same przez się. Ale za to wolno nam jest postawić przypuszczenie, że nawet bardzo poważnie zagrożony organizm człowieka mocen jest odrodzić się niejako własną siłą. Wszak mamy codzienne przykłady ran zabliźniających się bez pomocy obcej, a natura jest niewątpliwie najpotężniejszym lekarzem. Fakt sam zmusza nas bądź co bądź przyznać, że widocznem tu było oddziaływanie jakiejś istoty współświadomej, która zdawała się posiadać znajomość tajników ludzkiego organizmu, i środków rekonstrukcyi tego, co w nim było przez chorobę zniszczonem — co było niejako ruiną życia, a mimo to przewidywało objawy naprzód. Ten rodza istności zbliża się poniekąd do tego, co spotykamy w snach, a o czem żadna z teoryi naukowych głoszonych dotąd nie daje nam nawet przybliżonego pojęcia.

I tu właśnie mieści się całe mysteryum. Po zatem dostrzegamy fakt — tylko fakt, któremu zaprzeczyć nie podobna bez względu na to, czy go ktoś uznaje, albo mu zechce negować. Jednem słowem tajemnica nieprzeniknioną, a zjawisko biologiczne, na które człowiek nauki pozostać musi dłużnym odpowiedź, nie mniej stanowi dokument pierwszorzędnego znaczenia.

Sprawozdania Literackie.

Maurycy Mann: **„Wincenty Pol“**—studyum biograficzno-krytyczne.

(Dokończenie)

Nadszedł straszny w dziejach naszych rok 1846.

Pol nie należał ani do tych, którzy sieli ziarna burz, przyniesione przez „wersalskie dzieci“, ani do tych, którzy na tradycyi oparci usiłowali przeciwdziałać zamiarom strony przeciwnej.

Pol był w owe czasy człowiekiem spokojnym, wyrzekającym się nawet, chwilowo, charakteru poety, poety narodowego, a chcącym uchodzić jedynie za uczonego geografa.

Gdy w r. 1845 zaciszny dom jego nawiedzili emisaryusze Dembowskiego, proponując mu, by, jako dawny wojskowy, stanął na czele powstańczego oddziału, Pol odmówił stanowczo, wystawiając im z wielką trzeźwością, że propaganda ich nie doprowadzi do wyzwolenia ojczyzny, a tylko zasiać może rozdwojenie między klasami.

Nie należąc czynnie do spisku, Pol wiedział jednak, co święci się w kraju. Wiadomy mu był zapewne i termin powstania.

To też czując, że na wsi grozić może niebezpieczeństwo jego rodzinie, postanowił przenieść się na ten czas do Lwowa. Zapóźno.

W Polance, pod Krosnem, w domu przyjaciela ujrzał poeta po raz pierwszy nocą łuny pożaru na widnokręgu, a rankiem nadciągnęły bandy Szeli i otoczyły dwór. Mann opisuje szczegółowo straszne te chwile.

Z rąk chłopstwa przeszedł Pol w ręce huzarów austryackich. Rzucono go skatowawanego, skrępowanego powrozami na wóz drabiniasty i powieziono do Jasła. W przepełnionej więźniami celi, śród tortur ducha i ciała łamał się ten człowiek, a co wtedy ze skarbów umysłu i serca uronił, to doprawdy trudno na jego zapisywać winę.

Z Jasła do Lwowa przeniesiony, wylał wtedy gorycz swoją w cyklu wierszy, które ukazały się pod ogólnym napisem: „Z więzienia“.

Poglądy w nich zawarte, to nie owoc dojrzałego namysłu i skupionego w sobie ducha, to wybuch subjektywnego rozdrażnienia, które czyni poetę często w wysokim stopniu niesprawiedliwym, jak np., gdy woła:

„W co się obróci ta polska dziedzina
I czem się będzie ten lud dalej bawił
Gdy pierwszym krokiem, co w życiu [postawił,
Już w dziejach świata wyrósł na Kaina.

Nieprawda! Pierwszy krok tego ludu to bodaj, Racławice, a zresztą, słusznie wyjaśnia Mann, że „bandy zdemoralizowanych urlopników i rozmaitych zbrodniarzy, spojonych wódką i podnieconych bezwstydnie—to jeszcze nie lud, a choćby część ludu rzeczywistego, pogrążonego w ciemnocie i nędzy, dała się uwieść i do zbrodni pociągnąć, to przecież jasielski, bocheński i tarnowski obwód nie stanowią jeszcze całej polskiej dziedziny.

Nadewszystko zaś Pol nie chce widzieć tej „ręki“, która „ślepym mieczem“ kierowała.

Tak, rok 46 przyśpieszył ten proces, który zaczął dokonywać się w nim w Kalenicy jeszcze,—przyśpieszył i „zakończył“. Odtąd „Godłem życia“ dla twórcy „Pieśni o ziemi naszej“ będzie: „Wiernie stanąć na przeszłości, jako krew ze krwi, jak kość z kości, i sumiennie poczcić dzieje.“

Z tego stanowiska nie ruszy już Pol, czy to jako redaktor *Biblioteki* naukowego zakładu imienia Ossolińskich, czy jako profesor geografii na uniwersytecie krakowskim, czy jako autor tych historycznych gawęd, rapsodów, poematów, które większe imię, niż „Pieśni Janusza“ wyrobiły mu u współczesnych.

Już on odtąd zacznie idealizować nietylko to, co w przeszłości wielkiem i bohaterskiem było, ale nawet błędy i śmieszności, nawet występki i ohydę.

Zachodzi poeta w tem tak daleko, że bogdaj dalej, niżby mógł pragnąć sam ze względu na propagandę swojej idei. Nie waha się, idealizując sejmik, prawić:

„Któż górą na sejmiku? Ani ten, co z rodu,
Ani ten, co z zasługi znany u narodu
Ani głowacz, ni siłacz, ni bogacz mosanie,
Ale ten, co najraniej umiał dać śniadanie.“

Ten wczesny głód u szlachty sprawiał, że niejeden:

„partyi odstąpił
I wziął go bez obrotu, kto rano nie skąpił.

I na tej smutnej charakterystyce sejmikowiczów nie poprzestanie poeta, ale cieniując obraz swój, dodaje:

„Był taki, co znów nie dbał o pacta i jadło,
Wypił wódki i flaków podjadł przy ognisku,
Ale, że szaro gładko na sejmik mu padło,
Rad był choć buty nowe, lub czapkę mieć [w zysku.

Cóż gorszego mógłby powiedzieć wróg przeszłości o sejmikowych arkanach?

I na zakończenie:

„Różną czeladź Pan chowa—Bóg ma różne [sługi,
Jeden dbał o estymę, a o korzyść drugi;
Jednemu konia z rzędem, drugiemu popręgi,
Jednemu pas się dostał, drugiemu bat tęgi..
A był taki, co przyjął kutas do trenzelki,
I czasem więcej ujął szlachetkę kutasem,
Niż delijką z tumaków, albo słuckim pasem.“

Wszystko to jednak nie przeszkadza Polowi twierdzić, że

„Szlachcic, gdy się w publice skąpał, bywał [czysty,
I katolik prawdziwy i w sercu ognisty!
Tam rosły animusze i myśli serdeczne,
Bo się człowiek oglądał na to, co jest wieczne.“

Brzmi to zaprawdę, jak ironia, a powiedziane jest zupełnie poważnie.

A te poglądy na wychowanie, ta idealizacya batoga, który „formował rękę i uczył łaciny, miłości i bojaźni...“! Aż przykro pomyśleć, że to są myśli Pola!

A jednocześnie nie opuści go już zadawniona niechęć do ludu. Patrząc nań w kościele, zadaje sobie pytanie, czy Bogu miłe są jego modły „czy mażą stare i te nowe grzechy.“ Mówi, że czeladź teraz jest „tępa i sroga“ albo „podła i niewierna“, ubolewa, że „błogosławionej zabrakło karności.“

Tak się skrzywiła pod wpływem klęsk życia piękna i gorąca dusza poety.

Nie brakło mu też goryczy i w tym okresie życia. Napaści stronnicze, jak Ujejskiego, albo osobiste całkiem, jak Kalinki, który wołał, że „uniwersytet nie jest domem podrzutków“, żeby miał dawać katedrę ubogiemu poecie, nie mającemu pojęcia o przedmiocie, który wykładać zamierza. Nie brakło i ciosów i nieszczęść rodzinnych. Smierć żony, matki, nieraz brak i niedostatek dotkliwy, mimo dużych względnie jak na ową epokę honoraryów literackich poety, pogarszający się wciąż stan zdrowia, napełniały mu duszę mrokiem i coraz większą goryczą.

Ucieczką jedyną od tego wszystkiego była fala czasów minionych, w której tonął z zapamiętaniem coraz większem.

Do roku 1860 doprowadza Mann tom drugi swego studyum.

H. C.

Drugie Boże Przykazanie.

POWIEŚĆ

PRZEZ

T. T. JEŻA.

(Dalszy ciąg)

Bryznął wodą w twarz Srulowi, wina mu do ust nalał. Chory przełknął, oczy otworzył, i pierwszemi wyrazami, jakie wymówił, były następujące:

— W Sejnach ich nie ma, w Kalwaryi i Marjampolu także nie ma, w Grodnie wszystkiego dwie roty, w Suwałkach pół sotni kozaków...

Tchem jednym wyliczył wszystkie w pobliżu znajdujące się oddziały nieprzyjacielskie, o których wiadomość wyciągnął od zasidatela, uśmiechnął się do Piotra i omdlał. Piotr powierzył go staraniu kobiet, uścisnął żonę, i wskoczył na koń. Nim dzień zawitał, był z powrotem w obozie, który z powtórzeniem w głębokim pogrążony był śnie.

XIV

Ukradłem czytelnikowi scenę pożegnania pomiędzy młodem, cnotliwem a całą potęgą miłości kochającem się małżeństwem, scenę rzewną, tkliwą i ani trochę nie romansową, pomimo, a raczej właśnie dlatego, że romansowość w żonie zabijały przypadłości takie same—jakich człowiek doznaje na morzu, w mężu myśl poważna zostania za kilka miesięcy ojcem. Cóż robić!... Nie czas już do

tej sceny powracać. W rozdziale XIV byłaby już ona anachronizmem powieściowym. A przytem „ważniejsze—jak powiada Słowacki—dóradza mi muza.“

Na początku poprzedniego rozdziału wspomniałem „o innym obozie, wyglądającym także jak powstańczy“, to znaczy, nie jak obóz regularnego wojska pomimo, że była w nim pewna regularność pod tym przynajmniej względem, iż otaczały go straże czyniące, jeżeli nie niemożliwym, to bardzo trudnym ukradkowy przystęp do legowiska, założonego w gęstym ostępie. Samo wybranie miejsca zdradzało długą praktyką nabyte doświadczenie. Nie można było lepiej ukryć dwudziestu kilku wybornie uzbrojonych ludzi i tyluż osiodłanych koni. Dokoła otaczał ich gęsty las, przez który wijące się ścieżki były drogami udeptanemi przez dziki i jelenie. Na dnie ostępu sączył się strumień. Konie, uwiązane do drzew, dojadały w torbach obrok. Ludzie leżeli przy koniach. Strumień szemrał. Drzewa cicho szeptały. Najmniejsze poruszenie nie dało się widzieć ani słyszeć w tym milczącem obozie od zmroku, aż do chwili, kiedy strzał Cezara sprawił popłoch w obozie powstańczym.

Ten strzał doszedł głucho, dalekiem doniesiony echem, lecz żadnego nie sprawił wrażenia. Równocześnie wszakże z nim rozległ się odgłos turkotu kół, niby głuche bębnienie. Turkot ucichł raptem i huknął puhacz, raz, drugi i trzeci. Trzy razy lasowe echo żałośnie stęknęło, a gdy zamarło, jeden z leżących przy koniu podniósł głowę, do ust obie przyłożył dłonie i zawył wilczym głosem. Echa zadrżały. Na wycie, gdy ustało, puhacz odhuknął. Wówczas ten co wył, ludzkim przemówił językiem:

— Drogą Bingielską ktoś jedzie, co chciałby do nas trafić, a nie może...

I zawołał:

— Ciepkun! skocz-no i przyprowadź!... To musi być błahorodie, ale bez Cezara... Cezar gdzieś na robocie...

To rzekłszy, spuścił głowę, a jeden z jego towarzyszy zerwał się, czapkę na oczy nasunął, pas poprawił, pochylił się i poszedł szybkim krokiem, rozchylając rękami gęstwinę.

W obozie znów zapanowała cisza, która jednakże nie trwała już długo. Po upływie nie więcej jak półgodziny, wysłaniec wrócił, prowadząc za sobą dwóch ludzi.

Ten co pierwszy pozdrowienie wymówił, dał się poznać po głosie. Był to dobrze nam znajomy Mikołaj Pawłowicz.

Na jego powitanie nikt nie powstał. Nikt mu żadnego nie zadał pytania. On jednak, jakby czuł potrzebę wytłómaczenia swojej obecności w tem miejscu i w tem gronie, rzekł:

— Schowałem się pomiędzy wami przed buntowszczykami... Ręka rękę myje... Zasłaniał was ja, teraz wy zasłonić musicie mnie... Potem znów na mnie kolej przyjdzie...

— Bądź spokojny, błahorodie... — odpowiedział mu ten, co wył. — Pomiędzy nami będzie tobie, jak u Pana Boga za drzwiami... Cóż się z Cezarem stało?...

— Poszedł do Rzymu, rozpatrzyć się pomiędzy buntowszczykami... Powinienby wkrótce przyjść...

— Słychać było strzał w tej stronie...

— Strzał?... — zapytał zasidatel zaniepokojony.

— Może go Polaki podpatrzyli... i podstrzelili...

Ten domysł wydał się prawdopodobnym, zwłaszcza po upływie kilku godzin, które zasidatel, płaszczem owinięty, spędził na ziemi, mając pod głową poduszkę skórzaną. W tem położeniu mógł się przekonać, jak, przyłożywszy do ziemi ucho, słychać dalekie dudnienie. Słyszał tętent czwałującego konia. Ten tętent zwrócił na siebie uwagę tego co wył, który w nieobecności Cezara pełnił funkcyę naczelnika szajki złodziejów. Nazywano go Ali.

— Słyszysz?...—zapytał zasidatel.

— Słyszę...—odpowiedział Ali.

— Co to jest?...

— To Piotr Nuszkiewicz jedzie na kasztanowatym ogierku... Żaden koń nie umie tak ziemi kopytem trącać, żaden jeździec nie umie tak jeździć...

Zasidatel zębami zgrzytnął i w matkę załajał.

— *Wot*, a Cezara jak nie ma, tak nie ma...

Nie było go do samego rana. Dobrze już rozświtało, gdy w niedalekiej od obozu odległości odezwało się gwizdnięcie.

— Otóż Cezar!... — zawołał Ali zrywając się.

I kilka razy głosem psa szczeknął.

— Z ciebie jak widzę i wilk i pies...— rzekł zasidatel powoli się podnosząc i na poduszce siadając.

— Jak potrzeba, i kot, i żaba, i lis, i świnia...

— *Maładiec*... — pochwalił Mikołaj Pawłowicz.

Przybycie Cezara było dla szajki hasłem do wstawania. Wszyscy wstali i około przybyłego się zgromadzili. Cezar usiadł obok Mikołaja Pawłowicza. Wszyscy usiedli.

Teraz pora rzucić okiem na fizyognomię tego zacnego zgromadzenia.

W jednym z poprzednich rozdziałów opisałem postać Gryszy. Owóż postacie wszystkich bez wyjątku podkomendnych Cezara należały do tego samego rodzaju, nie z kształtu i rysów twarzy, ale z wyrazu. Każdemu na czole, w oczach, na policzkach, na nosie napisano było:

— Złoczyńca...

Bo twarz ludzka jest świadectwem. Daremnie bywa ona brzydką lub piękną. Dusza się na niej odbija—wielkiemi wypisuje się głoskami.

Cezar i zasidatel byli ludźmi pięknymi, Grysza był brzydkim, pomimo to z twarzy dawało się wyczytać, że są oni braćmi wedle ducha. I inni rysy mieli rozmaite. Ali miał oczy ukośne, nos spłaszczony, kości policzkowe wydatne, oznaczające pochodzenie tatarskie; inny był szczupły, śniady, gęstym, czarnym pokryty zarostem — Cygan; inny małego wzrostu, krępy, barczysty, błękitnooki—Mazur; inny znów płaskonosy, szerokiej twarzy, jasnowłosy; inny rudy—żyd; wąsaty—Litwin; białej, przejrzystej, piegami osypanej cery—Finlandczyk. Każdy prawie do innej należał narodowości, każdy miał odmienne rysy twarzy i kształty postaci, a każdemu na twarzy dusza wypisała i stęplem opatrzyła świadectwo:

— Złoczyńca...

A jak rozmaitymi z narodowości, tak też i rozmaitymi były ich stroje: żydowskie łapserdaki i lisie czapki, moskiewskie kaftany, czerwone lub błękitne koszule, i wysokie, u góry wązkie, a po środku węższe niż u góry, z małą kryzą kapelusze, siermięgi i baranie czapki, kożuszki i kaszkiety, kapoty i słomiane kapelusze, surduty, czamary i mycki. W uzbrojeniu ich nie było strzelb, szabel ni spis, tylko pistolety, topory, długie noże lub kindżały i nabite krzemieniami lub ćwiekami buławy.

Gdy usiedli, Cezar głos zabrał.

Zapomniałem powiedzieć, że były arendarz Rzymu nie z próżnemi przyszedł rękami. Przyniósł on pod pachą grubą na dwa palce, w kształcie dużej ćwiartki, w pstry papier oprawną i nowiuteńko wyglądającą księgę, którą obok siebie położywszy, opowiadał co następuje:

— Byłem w polskim obozie dwa razy... Pierwszy raz wkradłem się po cichu, ale mnie spostrzegł i o mało nie złapał ten pies, szlachcic z Poderniszek...

— *Sukinsyn*...—mruknął zasidatel.

— Musiałem uciekać; on za mną gonił i już chwytał za kołnierz, alem mu strzelił pod sam nos..

— Zabiłeś?... — krzyknął zasidatel.

— Chybiłem... Strzał jednak wielce mi pomógł... Szlachcic się zatrzymał... W obozie zaś powstało zamieszanie, które pozwoliło mi powrócić i wszystko obejrzeć... Kiedy Polaki krzyczeli i biegali, ja podszedł do Rzymu i, zobaczywszy, że nikogo tam niema, wszedłem tylnemi drzwiami do środka i naprędce zabrałem tę oto książkę, która w szynkownej izbie na stole leżała... Chciałem jeszcze co zabrać, ale nie miałem czasu... Wysunąłem się z karczmy i chodziłem sobie po obozie, aż póki się nie uspokoiło...

Mówiąc, podał księgę zasidatelowi, który ją od niechcenia otworzył, lecz rzuciwszy okiem na pierwszą stronnicę, nagle zwrócił na nią uwagę całą.

Były to akta powstańcze, nominacye dygnitarzy wojskowych obozu, który leżał pod Rzymem.

— Ho ho!... — zawołał zasidatel uradowany. — Pan Baltazar Trocki, pułkownik! szef sztabu!... Pan Szymkiewicz, podpułkownik! podszef sztabu!... Pan Pukszta, major! pierwszy adjutant!...

I przewracając ćwiartkę po ćwiartce, czytał kolejno nazwiska wszystkiej szlachty okolicznej.

— Wszyscy tu!... wszyscy są!... — wołał— ani jednego nie braknie!...

A bijąc ręką po książce, dodał:

— *Kresty!*... Ty Cezar, za tę poimkę wart nagrody...

— Hej! pohulamy!... po szlacheckich domach—odezwał się Ali, wstając i prostując się.

— Cezar zawsze coś wymyśli...—dorzucił inny.

— Ty, Cezar, praworny *maszennik*...—rzekł zasidatel—ja napiszę o tem raport.

— Tylko niech błahorodie z raportem się nie spieszy...—odparł Cezar. — Kto wie jak to wypadnie, a tu gotowi zesłać jakiegoś czynownika do osobnych poruczeń.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Poradnik dla kobiet.

SZKOŁA.

Z początkiem nadchodzącego roku szkolnego 1907/8 otwartem będzie nowe gimnazyum filologiczne ośmioklasowe, równie jak szkoła p. Rontalera w Warszawie (ulica Kaliksta Nr. 8). Poczynając od klasy III, gimnazyum podzielone być ma na 2 oddziały — filologiczny i realny, których wybór na podstawie uzdolnienia uczniów, pozostawionym będzie ich rodzicom. W gimnazyum filologicznem zapowiada program języki grecki i angielski, jako nieobowiązkowe. Przy szkole istnieć ma Towarzystwo zapomóg dla uczniów niezamożnych.

Kancelarya kursów pedagogicznych (polskie seminaryum dla nauczycieli ludowych), przyjmuje podania i zapisy kandydatów, codziennie z wyjątkiem świąt, od godziny 4 do 6 przy ulicy Wilczej Nr. 47.

W przyszłym roku szkolnym projektowane są przy stowarzyszeniu Nauczycielstwa polskiego kursa matematyczne, dla nauczycieli i nauczycielek. Bliższych szczegółów zasięgnąć można w lokalu S. N. P. od godziny 4 do 6, przy ulicy Zgoda Nr. 8.

Z powodu zamknięcia Szkoły Handlowej Niedzielnej przy Zgromadzeniu Kupców, praktykanci handlowi pozbawieni zostali systematycznej nauki ogólno-kształcącej i fachowej. Dla zaradzenia temu brakowi, który dotkliwie daje się czuć naszemu miastu, p. Kazimierz Nawrocki zakłada od dnia 1 Lipca r. b., szkołę niedzielno - handlową tego samego programu naukowego, co zamknięta, i przyjmować do niej będzie praktykantów handlowych, posiadających wykształcenie początkowe. Szkoła składać się ma z jednej klasy przygotowawczej ogólnej, w której wykładane będą: języki, matematyka, oraz z czterech kursów specyalnych z wykładem buchalteryi, korenspondencyi handlowej, towaroznawstwa, prawa handlowego, geografii handlowej, i t. d. Nauka odbywać się będzie w Niedziele i Święta, a na kursach wyższych w dnie powszednie wieczorami.

Na rogu ulic Drewnianej i Dobrej ukończono już budowę nowego gmachu dla szkół miejskich. Na odbytem w Magistracie Warszawskim posiedzeniu, postanowiono przenieść do tego gmachu 14 szkół z zajmowanych w mieście lokalów, o ile kończą się terminy ich kontraktów, a mianowicie 10 szkół męzkich i 4 żeńskie.

W Szkole Macierzy, Nowy Zjazd Nr. 6, grono pań prowadzić będzie przez lato bieżące kursa dla analfabetów. Przypuszczalnie miałyby na tem do skorzystania służące, których chlebodawcy opuszczają w tej porze miasto. Lekcye rozpoczęły się już w dniu 14 Czerwca — mają miejsce o 7 wieczorem. Zapisy codziennie od 6 do 8.

Z Cieszyna na Slązku otrzymuje „Goniec“ niepożądaną wiadomość, że na mocy postanowienia rady szkolnej w Karwinie wszystkie szkoły ludowe, które były dotąd polskie, zamienione zostają na polsko-czeskie. Rwie się robota nasza w wielu miejscach.

W dniu 9 i 10 Czerwca, w szkole P. M. S. utrzymywanej przez Koło im. Staszica (ul. Pańska Nr. 66) miała miejsce wystawa robót wykonanych przez uczennice i uczniów zakładu w roku bieżącym. Wystawiono rysunki przygotowawcze i ornamentacye wszystkich pięciu oddziałów szkoły, rysunki techniczne 4-go i 5-go oddziału—wypracowania kaligraficzne, trzech pierwszych oddziałów—wypracowania piśmienne ze wszystkich przedmiotów, objętych programem szkolnym przez uczniów 3, 4 i 5-go oddziału.

Z robótek i wyrobów slöjdowych przedstawiono wyszycia na kanwie, wykonane przez siedmioletnie dziewczęta — halki szydełkowe zrobione przez dziesięcioletnie uczennice, woreczki i paski sznurkowe i siatkowe—wreszcie pantofle. Są tam słomianki, koszyki, taburetki wykonane przez uczniów i uczennice trzech pierwszych oddziałów.

Wystawę zwiedziło pareset osób, przyczem wszystkie prawie eksponowane przedmioty rozkupiono. Ponieważ większą część zwiedzających stanowili rodzice, zadowolenie ich przeto z korzystnie spędzonego czasu przez wychowańców zakładu było zupełnie naturalnem, zwłaszcza, że była to dziatwa wyrwana życiu ulicznemu.

W Galicyi, dla młodzieży zmuszonej do spędzania w murach miejskich miesięcy letnich zorganizowane są od lat kilku t. z. korpusy wakacyjne. Organizacya ta polega na tworzeniu oddziałów z uczniów szkół różnych, a kierownikami tych drużyn stają się nauczyciele przepędzający również ferye w mieście. Przewodnicy ci wraz z zgromadzoną młodzieżą obmyślają codziennie wycieczki zamiejskie, urozmaicając je sobie mustrą i gimnastyką, grami sportowemi na wolnem powietrzu, konkursami pływackimi i t. p.. Tym sposobem młodzież szkolna, pod odpowiedzialnym dozorem i kierunkiem, wychodzi co rano w okolicę podmiejską, zabrawszy ze sobą śniadanie i powraca dopiero na obiad.

Otóż jest u nas grupa osób starających się o przeniesienie na bruk Warszawski tego ze wszelkich względów szczęśliwego pomysłu. Każda z istniejących szkół utworzyłaby jeden lub więcej oddziałów, które w razie dalszych wycieczek mogłyby się nawet łączyć razem. Pożądanem byłoby również, aby każda szkoła posiadała własną choćby nieliczną orkiestrę— w ostatnim razie pozostaje do wprowadzenia nauka śpiewu chóralnego, bo już to przyznać musimy, że od pokoleń całych śpiewała u nas młodzież chórem jak prawdziwe irokezy—nietylko bez znajomości rzeczy, ale i bez śladów muzykalnego poczucia. Czasu pozostaje dla Warszawy bardzo mało na wprowadzenie w roku bieżącym już tej użytecznej nowości, a co do obrócenia tego na korzyść a nie na szkodę dzieci, o tem niechaj radzi przewidywanie dbałych rodziców i pedagogów z powołania—nie z przymusu. Rzecz ta o tyle może być dobra, o ile będzie dobrze wykonana.

Chodzenie boso, jako środek przeciwko nerwowości.

Wyjeżdżamy na wieś, jak zwykle, dla dobra, dla zdrowia dzieci. Młode latorośle potrzebują na parę miesięcy wydostać się z zakopconych murów miejskich, z ciężkiego powietrza na wieś, pod niebo zlewające potoki światła na ziemię, w gaje balsamicznem powietrzem wypełnione. Gdyby nie mogły one porzucić niehygienicznych warunków, byłyby zapewne jeszcze bledsze, jeszcze wątlejsze, nie miałyby sił do ślęczenia w szkole nad książką.

Ale skorośmy już ponieśli ofiary materyalne, skorośmy już wywieźli nasze dzieci na wieś, niechże przynajmniej mają one korzyść z tego pobytu. Niech wzmocnią zdrowie, niech się zahartują, niech nabiorą odporności. Teraz właśnie pora na stosowanie tych wszystkich porad, jakie podawaliśmy i podajemy na szpaltach Tygodnika, naszym matkom.

Obecnie chcemy poruszyć sprawę chodzenie boso, co się da uskutecznić tylko na wsi.

Nerwy znajdujące się na podeszwie u nogi, bardzo jak wiadomo wrażliwej, stoją w związku z nerwami mózgowymi. Drażniąc podeszwy u nóg, wywołujemy rozszerzenie źrenic i zmiany w napięciu mięśni, rozszerzających lub kurczących naczynia krwionośne w mózgu. Kto chce, ten może sprawdzić to, cośmy powiedzieli na sobie samym. Niech przy pomocy szczotki trze sobie podeszwy u nóg i niech w lusterku przypatruje się swoim źrenicom, a przekona się, jak łatwo podlegają one rozszerzeniu skutkiem takiego bodźca.

W podobny sposób przy pomocy lusterka, specyalnie zresztą urządzonego, można zbadać że naczyniówka blednie, skoro tylko podeszwy zaczniemy nacierać zimnym i wilgotnym ręcznikiem. Dowód to, że naczynia się skurczyły.

W pierwszym jak i w drugim wypadku nastąpiło skurczenie się naczyń, pociągając za sobą spoczynek oka, albo jak w drugim przykładzie, odpływ krwi od mózgu.

I tu i tam funkcye organu danego zostały na pewien dłuższy przeciąg czasu obniżone.

Jeżeli więc przez dłuższy czas poddajemy podeszwy u nóg działaniu wilgotnego ręcznika— wilgoci w ogóle, światła, ciepła i zimna, słowem jeżeli skórę na podeszwach zmuszamy do intensywniejszej pracy nerwowej, to przez to samo dajemy wypoczynek mózgowi.

Można to najłatwiej osiągnąć, chodząc boso. Kto zatem chodzi na wsi bez trzewików, narażając się na wszelkie skutki ztąd wypływające, ten pozwoli wypoczywać swojemu mózgowi i nerwom w ogólności, odprowadza nadmiar krwi od tego najważniejszego organu—krwi, która obficie doń napływa za każdem wzruszeniem i wrażeniem. Chwilowe chodzenie boso ma mały wpływ na nerwy. Kto chce osiągnąć trwały skutek, ten musi chodzić ciągle boso, albo też używać sandałów ks. Kneippa. I chodzić nietylko podczas słonecznej pogody, kiedy piękny czas zachęca do spaceru, ale ciągle, nawet kiedy jest zimno, wilgotno, dżdżysto.

W miarę tego, jak nerwy nóg przyzwyczajają się do zimnej temperatury, światła, do ciśnienia, kłócia, słowem do wszelkich bodźców

to i nerwy mózgu, drogą przystosowania się przez refleksy, stają się mniej wrażliwe na bodźce zewnętrzne.

Chodzenie boso jest zatem jednym z czynników hygieny nerwów dla osób cierpiących na nadmiar pobudliwości, na nerwowość, jak to się zwykle mówi. Środek ten działa zarówno na dzieci, jak i na starsze osoby. Człowiek przepracowany umysłowo szuka odpoczynku po pracy nadmiernej a gdy czuje się rozdrażnionym, to znalazłszy się na wsi, zdala od ludzi, którzyby go krytykowali, niech korzysta z tej prostej taniej kuracyi, która może jeśli nie wyleczyć, to przynajmniej przynieść jaką taką ulgę.

Ma ona i tę ważną zaletę, że hartując podeszwy, chroni nas potem od katarów i zaziębień na skutek zmoczenia nóg. Bo pomiędzy podeszwami u nóg, a między nosem i organami oddechowymi istnieje bez wątpienia jakiś związek, nie badany dotąd dokładniej przez lekarzy.

W. U.

Wskazania praktyczne.

Ręce poplamione lakierem najlepiej myć spirytusem metylowym, a w braku metylowego—zwyczajnym. Farbę olejną i smołę czyści się masłem. Po starciu plamy, wytrzeć miękkim gałgankiem, i wymyć ciepłą wodą z mydłem.

Jeżeli silne uderzenie w oko lub twarz grozi w następstwie sińcem, zapobiega temu wysmarowanie świeżem masłem bez soli, na dwa lub trzy cale naokoło uderzonego miejsca; należy powtarzać to co parę minut, przez godzinę lub dwie po uderzeniu. Drugim sposobem równie skutecznym jest przyłożenie na stłuczone miejsce waty napojonej arniką, zmieniając ją w miarę, jak wata wysycha. Nawet jeżeli siniec zaczyna już występować, okładanie arniką rozpędzi go wkrótce.

Ręce powalane przy obieraniu jabłek czyszczą się doskonale sokiem cytrynowym. Potem opłókać czystą gorącą wodą, ale bez mydła, a plamy znikną bez śladu.

Chcąc oczyścić dokładnie kocioł, lub imbryk używany do wody, napełnić go obierzynami z kartofli i gotować długo na mocnym ogniu.

G. M.

Rady gospodarskie.

Syrop w kilku gatunkach.

Po połowie Czerwca gosposie nasze zaczynają przygotowywać konfitury z różnych owoców, sądzę więc, że podanie kilku gatunków syropu będzie na czasie.

1) Na syrop do kompotów dostatecznie jest brać kwaterkę wody na 1 funt cukru. Po zagotowaniu i wyszumowaniu wyżej podanej proporcyi, należy trochę syropu wziąć między dwa palce, i jeżeli przy powolnem otwieraniu ich pociągnie się niteczka i zaraz zerwie, zostawiając po sobie ślad na obu palcach, to syrop na gęstość będzie dobry.

2) Syrop do konfitur w płynie.

Gdy po dłuższem gotowaniu syropu Nr. 1, nitka po zmoczeniu nim palców nie zerwie się tak szybko, a na powierzchni syropu pokażą się perełki, to syrop będzie dobry na gęstość i owoc można weń w tenczas wrzucać.

3) Na syrop do lukru przezroczystego należy brać mniej, niż kwaterkę wody. Po zagotowaniu syropu Nr. 2, trzeba probować go widelcem lub łyżką durszlakową; umoczywszy jedno lub drugie w syropie, dmuchnąć w dziurki, a gdy wylatywać będą w powietrzu cienkie nitki, syrop jest dobry do użycia i może służyć do ciast na konserwy, do skórek pomarańczowych lub innych suchych konfitur, na pomadki kremowe i t. p..

4) Na syrop do obciągania kasztanów lub na karmelki, trzeba brać ½ kwaterki wody na 1 funt cukru. Po dłuższem gotowaniu syropu Nr. 3 ci wziąć miseczkę z zimną wodą, umoczyć w niej palec zaraz potem w syropie, i znów natychmiast w wodzie, jeżeli cukier odjęty od palca łamie się, to jest dobry do powyższego użytku.

5) Gęstość syropu na rumiany cukier, do ubierania tortów, robienia piramid, zlepiania cukierków nazywa się karmelem.

Jest to ostatni stopień gęstości syropu; probuje go się jak syrop Nr. 4, a jeżeli kawałek stwardniałego na palcu cukru wzięty w usta nie przylega do zębów, to do użytku tego jest dobry. Jeżeli syrop ten ma być użyty jak cukier rumiany do sosu, należy go zrumienić mocniej, poczem wlać kilka łyżek wody, zagotować a po ostudzeniu zlać w butelkę do przechowania na czas dłuższy, bo karmel się nie psuje, a lekko przytkany papierem może stać całe miesiące.

Konfitura z agrestu.

Agrest zerwać po połowie Czerwca, gdy nie jest jeszcze dostały, skórkę ma grubą a wewnątrz zamiast pesteczek miazgę. Najlepiej się nadaje gatunek agrestu gładki i podługowaty. Każdy agrest nakroić z jednego boku podłużnie, a jeszcze lepiej z jednego końca ściąć czubek, dla wydobycia podwójną szpilką miazgi. Funt tak przygotowanego agrestu trochę posolić i po upływie pół godziny zanurzyć z durszlakiem we wrzącej wodzie, w której niech się raz dobrze zagotuje. Następnie wypłukać agrest w zimnej wodzie, potem namoczyć go w niej na dwie godziny, odmieniając wodę kilkakrotnie.

Przygotować syrop z 2 funtów cukru i szklanki wody, letnim zalać agrest dobrze z wody osączony i złożony w salaterkę. Nazajutrz syrop zlać z agrestu zagotować i nieco cieplejszym agrest zalać. Czynność tę powtarzać jeszcze przez 3 dni zalewając owoc coraz cieplejszym syropem. Ostatniego dnia wygotować syrop do potrzebnej gęstości, agrest w niego złożyć i zasmażyć najwyżej dwa razy, bo dłużej smażony będzie twardy i łykowaty.

Inna konfitura z agrestu.

Agrest wydrążony nalać zimną wodą, postawić na ogniu i gotować, aby zmiękł a nie rozgotował się, potem odcedzić i nalać wodą zimną na 24 godzin. Po upływie tego czasu, agrest dobrze z wody odcedzić i letnim i gęstym syropem zrobionym z połowy przeznaczonego cukru zalać go. Przez cztery dni trzeba syrop zlewać z agrestu i przesmażać, dodając po trosze cukru. Piątego dnia na wrzący syrop złożyć agrest i na wolnym ogniu smażyć nie długo, aby nie z czerwieniał i nie ztwardniał

Na 1 funt agrestu liczy się 2 funty cukru.

Inna jeszcze konfitura z agrestu.

Liście dębowe świeże nalać czystą dobrą wódką i pod szczelnym przykryciem gotować dosyć długo, aby wódka nabrała zielonego koloru. W wódce tej zcedzonej z liści ugotować niezbyt mięko wydrążony agrest, potem wyjąć go i osączyć na sicie do wystudzenia.

Na 1 funt agrestu wydrążonego zrobić gęsty syrop z 2 funtów cukru i ¾ szklanki wody, wyszumować starannie, złożyć weń agrest, który na wolnym ogniu smażyć się powinien około kwadransa.

Galareta z agrestu.

Agrest twardy i nie dojrzały oczyścić tylko z korzonków, złożyć w rondel i o tyle nalać wodą, aby nią został pokryty. Rondel postawić na ogniu i gotować agrest dopóty, dopóki nie popęka, wówczas przelać go przez sito, a choć płyn nie będzie na razie klarowny, sklaruje się przez dalsze gotowanie. Na 1 funt soku, brać 1 funt cukru i szumując ciągle gotować tak długo, aż płyn zupełnie się oczyści i ściemnieje, wówczas zlać go w małe słoiki, ustawić w chłodzie do zgalaretowania.

Marmelada z agrestu.

Agrest niedostały rozmaitego gatunku i wiel kości musi mieć jeszcze zupełnie miękie pesteczki, bo twarde zawsze w smażeniu twardemi pozostaną. Agrest oczyszczony z korzonków i obmyty w zimnej wodzie przepuścić przez maszynkę od mięsa. Oddzielnie zrobić syrop, licząc na 1 funt agrestu 1 funt cukru i ½ szklanki wody, w wyszumowany złożyć agrest i smażyć tak długo, do póki nie zrobi się jedna masa brunatna. Do tej marmelady można przy końcu smażenia dodać malin lub róży cukrowej; a będzie o wiele lepszą. Marmelada ta jest tak delikatna i dobra, że może służyć do przekładania najwykwintniejszego ciasta.

Krem z agrestu.

Kwartę niedojrzałego agrestu oczyścić z korzonków i sparzyć wrzącą wodą, potem ją odlać i nalać pół kwarty świeżej, a dodawszy 1 funt cukru, postawić na ogniu i wszystko na masę rozgotować, potem przestudzić i przetrzeć przez niezbyt gęste włosiane sito. Do zupełnie wystudzonej masy dodać pianę z 5 białek, ½ laski miałkiej wanilii, i trzepaczką ubijać tak długo, dopóki się wszystko w białą pianę nie zamieni, wówczas złożyć w salaterkę wypłókaną zimną wodą i wynieść w zimne miejsce do zastudzenia.

Z pozostałych 5-ciu żółtek można do tej leguminy zrobić sos, dodawszy cukru, mleka i wanilii.

Jak gotować młode kartofle.

Młode kartofle postawione z garnkiem na ogniu zagotować, a gdy będą na w pół miękie, odlać z nich wodę, nalać świeżą wrzącą i gotować do miękości. Miękie odlać, osolić, osypać siekaną pietruszką, dobrze wstrząsnąć i odkryte na chwilę postawić na gorącym trzonie, aby nieco wyparowały. Sposób ten nietylko stosuje się do młodych kartofli, gdyż i stare a nawet gotowane w łupinach o wiele są lepsze, gdy w ten sposób będą przyrządzone.

P. Szumlańska.

Osoba w starszym wieku, słabego zdrowia, bez środków do życia udaje się z pokorną prośbą do Szanownych Czytelników o łaskawą pomoc na kupno chociażby używanej maszyny do szycia, bez której nie jest w stanie zarobić na życie i mieszkanie, za co będzie nieskończenie wdzięczną. Zgłosi się do redakcyi tego pisma pod literami.

M. H.